

IWONA WILMOWSKA

NIKT NIE SŁUCHA STARYCH LUDZI

PRYWATNE ŚLEDZTWO AGATY BROK

IWONA WILMOWSKA

NIKT NIE SŁUCHA STARYCH LUDZI

PRYWATNE ŚLEDZTWO AGATY BROK



Copyright © 2018 by Iwona Wilmonska
Copyright for this edition © 2025 by Grupa Wydawnicza Axis Mundi

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Izabela Surdykowska-Jurek
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: Izabela Surdykowska-Jurek

SKŁAD: Marcin Matlak

WYDANIE III
WYDANIE I POD TYTUŁEM: *Tajemnice Leokadii*

ISBN: 978-83-8394-875-1
ISBN E-BOOK: 978-83-8394-876-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



1

Zimny wiatr targa po chodniku resztki wyschniętych, brązowych liści. Piękna jesień już się skończyła, rozpoczęło się oczekiwanie na zimę. Łada dzień można się spodziewać pierwszego śniegu. Mężczyzna z twarzą wtuloną w postawiony kołnierz kurtki wychodzi z budynku, ciągnąc za sobą na smyczy niewielkiego, przypominającego sznaucera kundelka, który najwyraźniej też nie ma ochoty na spacer – w taki wieczór jak dzisiaj nawet on wolałby zostać w domu i wtulić się w kąt ciepłej kanapy.

– No chodź, Bąbel, nie daj się prosić – zwraca się do niego człowiek i delikatnie pociąga za smycz. – Załatwisz się tylko i zaraz wracamy.

Pies, kuląc po sobie uszy, wybiega za swoim panem, by czym prędzej poczynić honory i mieć już ten spacer za sobą. Obaj znikają za rogiem.

Nie mija pięć minut, gdy ciszę przerywa głośny krzyk, który trwa ledwie chwilę, po czym gwałtownie się urywa. Nikt nie przybiega, nikt nie wygląda z okna. Jedni potem zeznają, że nic nie słyszeli, bo oglądali telewizję lub słuchali muzyki. Inni stwierdzają, że byli przekonani, że ktoś robi sobie żarty – wszak nie od dziś wiadomo, że nawet w tak zimne dni jak dzisiaj młodzież lubi bawić się na dworze, a zabawy te rzadko bywają ciche. To jednak nie była zabawa, nie był żart ani nawet odgłos z oglądanego przez sąsiada filmu.

Na chodniku leży ciało kobiety. Nie porusza się. Spod jej głowy wycieka cienka strużka krwi tworząca kałużę, która wygląda jak krwawa aureola. Z jej ust ulatuje mgielka ostatniego oddechu.

W otwartym oknie na górze powiewają śnieżnobiałe firanki, targane zimnym, przenikliwym wiatrem. Światło w pokoju gaśnie, lecz po chwili znów ktoś je zapala.

Zanim ktokolwiek zauważy leżącą na ziemi kobietę, z budynku, szybkim krokiem zdradzającym zdenerwowanie, wychodzi osoba – trudno orzec, mężczyzna czy kobieta. Nie ogląda się za siebie.

Antoni Hoffer miał już swoje lata i jedyne, czego od życia oczekiwał, to możliwość przeżycia reszty swych dni w świętym spokoju, względnym dostatku i jako takim zdrowiu. O ile względny dostatek zapewniała mu regularnie przynoszona przez listonosza emerytura (bankom nie ufał), zdrowie – dziękować Bogu! – na razie nie sprawiało problemów większych niż typowa w tym wieku cukrzyca i nawiedzające go od czasu do czasu bóle stawów, to ze świętym spokojem będzie się musiał niedługo pożegnać.

Nie miał w zwyczaju wybierać się na wieczorne eskapady. Zwykle o tej porze siedział w swym wysłużonym, lecz wyjątkowo wygodnym fotelu i oglądał dziennik, pogryzając kanapki z wędliną, które popijał słabą, słodzoną herbatą z posmakiem pocucia wina za ten cukier, którego zdecydowanie nie powinno tam być.

Jednak tego dnia, gdy dochodziła dziewiętnasta, przypomniał sobie, że jutro są imieniny jego sąsiadki, pani Leokadii. Nie wypadało nie złożyć życzeń. Nie wypadało również złożyć życzeń, nie ofiarowawszy jej choćby drobnego upominku. Mógł wprowadzić z zakupem poczekać do jutra, ale Antoni Hoffer nie lubił odkładać rzeczy na ostatnią chwilę. Problemy ze snem nie były mu obce i wiedział, że jeśli dziś nie kupi odpowiedniego podarunku, myśli o jego braku nie opuszczą go przez całą długą noc. Jeszcze parę lat temu pewnie odpuściłby sobie tę nocną wycieczkę po prezent, ale człowiek z wiekiem mądrzeje. Westchnął ciężko,

po czym wstał, nałożył zimową kurtkę oraz ciepłe buty, a szyję owinął ciepłym wełnianym szalikiem.

Najodpowiedniejszym podarkiem byłyby kwiaty, jednak zdobycie ich tego wieczoru w jego okolicy było niemożliwe. Kwaciarnię dwie ulice dalej zamykano o osiemnastej. Być może pójdzie tam jutro, dziś nic tam po nim.

Jedynym ratunkiem był osiedlowy sklep wielobranżowy. Antoni nie pamiętał, do której dokładnie jest otwarty, ale wydawało mu się, że do dość późnych godzin wieczornych. A ponieważ był to obecnie jego jedyny ratunek przed natrętnymi myślami o jutrzejszym blamażu, postanowił podjąć ryzyko i wybrać się tam w poszukiwaniu odpowiedniego drobiazgu, choćby takiej bombonierki.

Zdążył w ostatniej chwili. Gdy dotarł do sklepu, zegar nad ladą akurat wskazał 19:00 i młody chłopak, ochroniarz, podszedł do drzwi, jedną ręką chwycił za klamkę, a drugą przebierał w wiszących na łańcuszku u jego paska kluczach, szukając odpowiedniego. Pierwszy lepszy klient z ulicy mógłby co najwyżej pocałować klamkę, ale Antoni Hoffer był kimś ważniejszym. Robił w tym sklepie zakupy codziennie (rzecz jasna, oprócz niedziel) około ósmej rano i zarówno dla pracujących w sklepie ekspedientek, jak i ochroniarzy nie był postacią anonimową. Chłopak, ujrawszy go, uśmiechnął się i otworzył drzwi.

– A co pan dzisiaj tak późno, panie Antoni? – spytał, bo choć pracował tu już piąty rok, po raz pierwszy widział staruszka o tak późniejszej godzinie.

Antoni wyjaśnił mu, jaka to nagła potrzeba wygoniła go z domu o drakońskiej porze, w dodatku w tak nieprzyjemnych okolicznościach przyrody.

– No tak. – Ochroniarz pokiwał głową ze zrozumieniem. – Imieniny sąsiadki ważna rzecz. Proszę, niech pan wejdzie.

Uchylił drzwi szerzej, a pan Antoni wszedł do środka.

– Tylko proszę się pospieszyć.
– Jasna sprawa. – Antoni puścił do niego oko. – Bombonierki są w drugiej alejce?

– Tak, na samym końcu.

– To już prędziutko jakąś wybieram i idę prosto do kasy.

Tak też zrobił. Wybrał gustowne, białe, niezbyt duże pudełeczko ozdobione fotografią fioletowych bzów. Leokadia uwielbiała zapach bzu. Co prawda ona również cierpiała na cukrzycę, lecz podobnie, jak to było w jego przypadku, nie powstrzymywało jej to przez sięganiem po słodycze. Jednak wręczając jej jedno z tych wielkich opakowań, czułby się nieco skrępowany. To, które wybrał, będzie idealne.

Stał w kolejce i uśmiechnął się do ekspedientki, pani Bożenki. Sposób, w jaki to odwzajemniała, a zwłaszcza pojawiające się wtedy dołeczki na jej policzkach przypominały mu świętej pamięci żonę, Krysię. Pani Bożenka odpowiedziała uśmiechem i zwróciła się do stojącego naprzeciw niej mężczyzny o rzadkich mysich włosach, uformowanych na czubku głowy w wyjątkowo niezgrabną zaczeskę:

– To będzie razem czternaście złotych dziewięćdziesiąt osiem groszy.

Mężczyzna pogrzebał chwilę w portfelu, po czym położył na talerzyku przy kasie dziesięciozłotowy banknot oraz pięciozłotową monetę.

Pani Bożenka otworzyła kasę, spojrzała do środka, a na jej twarzy zagościł wyraz frasunku.

– A czy mogłabym być panu winna dwa grosze? Kierownik był dzisiaj wcześniej, zabrał utarg i nie zostały mi już żadne drobne.

– Jasne... – warknął mężczyzna. – Tu dwa grosze, tam pięć groszy i się zbiera...

Pani Bożenka nie należała do osób konfliktowych, powiedziała więc:

– W takim razie chwileczkę, sprawdzę jeszcze w swoim portfelu.

Wyciągnęła spod lady swoją torebkę ze sztucznej skóry i wyjęła z niej niewielką portmonetkę ozdobioną koralikami. Zajrzała do środka.

– Niestety. – Pokręciła głową. – Stąd też nie będę miała jak panu wydać.

Mężczyzna patrzył na nią bez słowa.

Antoniemu żal było pani Bożenki. Sam wydałby mu te dwa grosze, ale wiedział, że próżno ich szukać w jego kieszeniach. Kurtka była dopiero co prana i wtedy wyrzucił z niej wszystkie drobne. A portfela nawet nie wziął z domu, wsunął tylko do kieszeni leżące na stole w kuchni dwadzieścia złotych. O! W takim to pośpiechu wychodził z domu! Nawet portfela nie miał czasu poszukać! Nachylił się więc do mężczyzny i powiedział:

– A na co panu te dwa grosze? Co pan sobie za to kupi? Co najwyżej komara albo muchę!

Mężczyzna spojrzał na niego jak na wariata.

– Ziarno do ziarnka... – mruknął.

– ...i może uzbierałby pan na pszczołę – dokończył Antoni.

Mężczyzna ściągnął brwi, zacisnął usta, ale najwyraźniej nie znalazł na to godnej riposty, bo rzucił do pani Bożenki:

– Niech pani już nie szuka.

Zgarnął swoje zakupy z lady i ruszył w stronę wyjścia.

– Dziękuję panu – szepnęła do Antoniego pani Bożenka, posyłając mu jeden z tych swoich uśmiechów.

– Ach, drobnostka. – Antoni machnął ręką. – Co to za czasy, że człowiek człowiekowi wilkiem?

– Czasy jak każde, panie Antoni. – Pani Bożenka wzruszyła ramionami. – Poza tym to taka praca. A ludzie różni, jak wszędzie. Za czekoladki siedemnaście złotych się należy.

Antoni z poczuciem winy położył przy kasie dwudziestozłotowy banknot.

– Będzie pani miała wydać?

– Och tak! Złotówek kilka nam zostawił, tylko grosze akurat wszystkie wybrał.

Antoni zabrał swą resztę, pożegnał się z ekspedientką i ochroniarzem, życząc im dobrej nocy, po czym wyszedł ze sklepu.

Owionął go nieprzyjemny chłód. „Lada dzień pewnie spadnie śnieg – pomyślał. – Przy ziemi na pewno jest już poniżej zera”. Owinał się szczelnie zrobionym na drutach przez świętej pamięci żonę szalikiem i trzymając pudełko czekoladek pod pachą, ruszył szybkim krokiem w kierunku swojego bloku.

Choć nigdy by się do tego nie przyznał i wciąż utrzymywał, że widzi świetnie i nie potrzebuje żadnych okularów, wzrok miał już nie taki jak kiedyś. Dlatego z początku nie zauważył postaci leżącej w cieniu rosnących wokół bloku drzew. Dopiero po chwili spostrzegł, że na chodniku koło żywopłotu leży coś, czego wcześniej tam nie było, coś, co niebezpiecznie przypomina... nie, to przecież nie może być...

Ostrożnie podszedł bliżej. Teraz już wyraźnie widział wciąż powiększającą się kałużę krwi. Nawet nie zauważył, jak pudełko czekoladek wypadło spod jego pachy, gdy przyklęknął i sięgnął do policzka kobiety, by sprawdzić, czy jest jeszcze ciepła. Policzek był lodowaty. Z ust nie wydobywała się najłżejsza nawet mgielka. Przymknięte oczy wpatrywały się gdzieś w przestrzeń. Nie zdradzały najmniejszych oznak życia.

– Och, Leokadio – jęknął, z trudem powstrzymując napływające do oczu łzy. – Pomocy! – krzyknął, lecz nikt go nie usłyszał.

Czym prędzej pobiegł na górę, by zadzwonić na 112.

3

Optymistyczne słowa piosenki Queen *Don't stop me now* popłynęły z budzika, ale Agata Brok i tak od dłuższego czasu już nie spała. Radość bijąca z utworu nijak nie pasowała do jej ponurego nastroju. Była środa – przed nią kolejny nudny dzień w biurze, do weekendu daleko, a nawet gdyby był weekend, to nie miała na niego lepszego pomysłu niż wypad do siostry mieszkającej w domku na obrzeżach miasta z mężem i trójką dzieci.

Jeszcze dwa tygodnie temu nie miała takich problemów. Każdy weekend spędzała z Maksem, swoim chłopakiem. Pewnie byłoby tak nadal, gdyby nie to, że się rozstali, i to bynajmniej nie w przyjaznych okolicznościach. Prawda jest taka, że zdradzał ją z koleżanką z firmy, choć to chyba zbyt kulturalne określenie na bzykanie się w godzinach pracy z jakąś młodą siksą, która ledwo co skończyła 20 lat i Bóg jeden wie, o czym myślała, wikłając się w romans ze starszym o 15 lat, pracującym w tej samej firmie, będącym w długoletnim związku mężczyzną. Pewnie o niczym.

Agata zajrzała do jego telefonu, szukając numeru do pobliskiej pizzerii. Naprawdę nie miała zamiaru w nim grzebać. Akurat wtedy przyszedł sms od tej dziewczyny, który Agata przypadkiem otworzyła. Sama miała starego Samsunga i nie umiała zbyt dobrze posługiwać się wypasionym telefonem Maksa. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakaś pomyłka, bo niby czemu jakaś Angela miałaby pisać do jej Maksa takie sprośności? Po chwili

jednak zobaczyła, że ich korespondencja sms-owa jest dość długa i sprośności padają nie tylko z jej strony.

Bez słowa podała Maksowi telefon.

Na szczęście miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby głupio się nie wypierać. Przeprosił ją, powiedział, że to była tylko zabawa (serio, tak powiedział – zabawa!), że zakończy to z dnia na dzień i nigdy więcej się to nie powtórzy. Przyniósł jej kwiaty, kupił pierścionek, nawet zadeklarował gotowość do rychłego wstąpienia w związek małżeński, by podkreślić powagę swych zamiarów. Agata jednak nie widziała szans dla ich związku. Pierścionka ani kwiatów nie przyjęła, a Maksa poprosiła, by w ciągu dwóch dni opuścił mieszkanie – należało do niej. Maks znał ją na tyle dobrze, by trafnie ocenić, że nic tu nie wskóra. Widząc jej upór, nie protestował i wyniósł się już następnego dnia.

W niezłomnym trwaniu przy swoim Agacie z pewnością pomógł fakt, że już od pewnego czasu zaczęła się w tym związku po prostu nudzić. Byli ze sobą sześć długich lat, od pięciu mieszkali razem i ocierając się o trzydziestkę – czy nawet trzydziestkę piątkę w przypadku Maksa – nieuchronnie coraz częściej przebąkaliwali o dzieciach i o ślubie. Wprawdzie były to zupełnie niezobowiązujące uwagi, wplatane żartem w rozmowy na inne tematy, ale za każdym razem, gdy padały, czuła, jak ją paraliżują. Tak więc zdrada Maksa, choć niewątpliwie ją zraniła, była jej poniekąd na rękę. Trudno zakończyć długoletni związek bez wyraźnego powodu, a skoro Maks taki powód jej dostarczył, wykorzystwała go. Tłumaczyła sama sobie, że jeśli naprawdę by go kochała, umiałaby mu wybaczyć tę zdradę.

Nie przewidziała tylko jednego – jej życie po tym, jak zniknął z niego Maks, stało się niecznośnie puste. Koleżanki miały już mężów lub narzeczonych i to z nimi spędzały większość czasu, więc o ile nie chciała kisać w samotności, pozostało jej spędzanie wolnego czasu u siostry. Aśka była wprawdzie mężatką, ale

oprócz tego miała także trójkę dzieci – w wieku pięciu i trzech lat oraz dziesięciomiesięcznego maluszka – więc każda para rąk do pomocy w jej domu była zawsze witana z radością i wdzięcznością.

Jednak fakt, że siostra miała męża i trójkę dzieci, a Agata nie miała na utrzymaniu nawet kota czy choćby rybki, sprawiał, że to jej przypadł w udziale obowiązek odwiedzania ich starszego wujka Antoniego, który poza nimi nie miał już żadnej rodziny. Rodzice Agaty i Aśki zmarli, gdy ta druga miała osiemnaście lat. Sąd wyraził zgodę na to, by zaadoptowała o cztery lata młodszą siostrę, a pieczę nad nimi sprawował właśnie wujek Antoni, brat ich mamy. Przychodził do nich kilka razy w tygodniu, dyskretnie sprawdzając, czy mieszkanie jest czyste, lodówka napełniona, a dziewczyny zadowolone. Uczestniczył we wszystkich ważnych wydarzeniach w ich życiu – to on chodził na wywiadówki, z dumą kiwał głową nad świadectwami, a potem indeksami, pamiętał nawet o drobnych prezentach z okazji Dnia Dziecka, nie mówiąc już o tortach na urodziny. To dzięki niemu miały poczucie, że ich mała rodzina może rościć sobie prawa do odrobiny normalności. Dzięki niemu nigdy tak naprawdę nie czuły się sierotami. Czuwał nad nimi, nigdy im się przy tym nie narzucając. Regularne odwiedziny nie były więc zbyt wielką ceną za to wszystko, co dla nich zrobił. A dziś przypadała środa – dzień odwiedzin u wujka. To oznaczało, że Agata wróci do domu dopiero około 21:00.

Uff... no nic, trzeba wstawać, kawa, szybkie śniadanko i do roboty.

4

Dzień w pracy minął jej szybko. Pracowała w firmie zajmującej się badaniami marketingowymi i natłok zadań, telefonów od klientów i spadających z sufitu problemów wymagających natychmiastowych rozwiązań rzadko kiedy dawał jej szansę, by choć przez chwilę się nudziła. Nie znalazła nawet czasu na obiad. Za cały posiłek w ciągu dnia musiały jej wystarczyć dwie kanapki kupione w barze na dole. Tak więc z każdą godziną myśl o odwiedzinach u wujka nabierała coraz atrakcyjniejszych barw – pod względem kulinarnym nigdy nie zawodził i odwiedzając go, zawsze mogła liczyć na porządną obiad, złożony z zupy i drugiego dania zwieńczonych deserem. Często był to jedyny tak porządną posiłek w ciągu całego tygodnia.

Nie chciała się spóźnić, więc punktualnie o 17:00 wyłączyła komputer i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Już idziesz? – rzucił znad ekranu komputera jej szef, Michał. Był to chłopak niewiele starszy od niej, ale z ogromnym doświadczeniem zdobytym podczas kilkunastogodzinnych dni pracy. Mimo niepozornej fizjonomii uwagę przykuwały jego wielkie błękitne oczy, które zbyt często zdradzały, co tak naprawdę ma na myśli. W niewinnych pytaniach takich jak to, które właśnie padło, często czaił się ukryty podtekst. Po dwóch latach pracy z nim Agata wyraźnie usłyszała pobrzmiewające w tle: „Zrobiłaś wszystko, co miałaś dziś do zrobienia?”. Taaak... praca przez

osiem godzin dziennie to coś, o czym w niektórych profesjach można co najwyżej pomarzyć...

- Tak. Przecież wiesz, że w środy muszę wychodzić o siedemnastej. Rozmawialiśmy już o tym.

- No tak...

- Jeśli masz na myśli raport o karmie dla kotów, to jest już w zasadzie skończony. Jutro przeczytam go ostatni raz i można śłać do klienta.

- A co wyszło?

- Że lepsze jest to opakowanie z kotem po prawej stronie.

Ach, te wpływające na los ludzkości problemy, nad którymi dane jej było pracować!

- Tak myślałem. No dobra, skoro musisz, to leć.

- Do jutra.

Odpowiedziało jej kilka pomruków. Nikt nawet nie podniósł wzroku znad monitorów. Wzruszyła ramionami i wyszła na korytarz.

Przy windach spotkała Kermita, informatyka. Oczywiście tak naprawdę nie miał na imię Kermit, ale choć nikt tak naprawdę nie pamiętał, skąd wzięło się to przezwisko, wszyscy go używali.

- Cześć, Kermit.

- Hej, Agata. Co tak wcześniej?

- A, muszę wujka odwiedzić. A ty?

Nie uważała, że siedemnasta to zbyt wczesna godzina na opuszczanie biura, ale nie chciała pozostać dłużna.

Weszli do windy, która właśnie przyjechała.

- A ja zawsze wychodzę o tej porze – odparł Kermit z uśmiechem.

- Serio? Jak ty to robisz?

- No po prostu. Wyłączam komputer i wychodzę. Gdybym chciał tyrać do nocy, to zostałbym programistą lub kimś w tym rodzaju, a nie informatykiem w korpo.

- I nie czepiają się?
- Czasem czepiają - rzekł beztrosko. - Zdradzić ci sekret?
- Nooo...

Nachylił się do niej i wyszeptał wprost do jej ucha:

- Nie mam najmniejszego zamiaru się tym przejmować.

Agata nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Może i racja - odparła.

Winda zjechała na dół. Wyszli z budynku.

- No to siemka! - powiedział Kermit.

- Siemka.

Kermit założył na uszy wielkie słuchawki, wyjął z kieszeni empetrójkę i zaczął w niej grzebać, powoli oddalając się w stronę przystanku tramwajowego. Agata stała jeszcze chwilę, patrząc, jak idzie lekko kołyszącym się krokiem. Z tym swoim jasnym kucykiem i plecakiem wyglądał jak uczeń, co najwyżej student, a musiał przecież być przynajmniej w jej wieku. Ciekawe, czego właśnie słucha?

5

Puk, puk! – zastukała i cierpliwie czekała, aż wujek jej otworzy.

Gdy ujrzała go w drzwiach, od razu wiedziała, że coś się stało. Jego twarz żłobiły głębsze niż zwykle bruzdy, a oczy wyrażające bezbrzeżny smutek jakby zapadły się do środka. Wyglądał na dziesięć lat starszego niż w zeszłą środę.

– Wujku, co się stało? – spytała, czując ukłucie niepokoju.

– Wejdz, Agatko – powiedział i gestem zaprosił ją do środka.

– Siadaj do stołu. Zupa stygnie.

Agata wiedziała, że nie ma sensu nakłaniać go do zwierzeń, zanim nie spełni jego polecenia. Szybko zdjęła płaszcz i buty, siadła do stołu i zjadła kilka łyżek zupy pomidorowej z kluseczkami. Cały czas jednak uważnie go obserwowała i z każdą chwilą była coraz bardziej pewna, że stało się coś strasznego.

– No i co tam u ciebie w pracy, Agatko? Wszystko dobrze?

– Tak, wujku, wszystko w porządku. Pyszna zupa. A teraz może powiesz mi w końcu, co się stało, bo przecież widzę, że coś cię gnębi.

– Nałóż ci gołąbki. Zjesz dwa? – spytał, podnosząc się z fotela.

– Wujku! – zganiała go. – Usiądź i porozmawiaj ze mną.

– Tak, tak... – mruknął wujek jakby do siebie, po czym wyszedł do kuchni.

Po chwili wrócił z dwoma talerzami, na których były gołąbki. Jeden postawił przed sobą, drugi przed Agatą. Agata zjadła